№ 9. Warszawa, dnia (20 Lutego) 4 Marca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu. Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagraniczne.

Adres Redakcyi i Administracyi: *Warszawa. Chmielna 26.* TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

— Oto spis potrzebnych mi książek. Czy będziecie łaskawi?...

Młodzieniec nie odpowiada. Chwyta długimi palcami kartkę, i założywszy binokle szybko ją odczytuje.

— To... i to... i to... — mówi prędkim, urywanym głosem, stukając paznogciem w kartkę—dostanę u bukinistów na pobrzeżu. Resztę kupię w znajomej księgarni, gdzie mi dają rabat. Zyskacie na tem 30 do 40 procentu oszczędności.

— Bardzo wam będę wdzięczna.

— Ooo... to wcale niepotrzebne.

Okręcił szybko na palcu sznurek od binokli i cofać się chce do sieni.

— Zaczekajcie, dam wam pieniędzy.

— Mam jeszcze u siebie wasze 13 franków 30 centymów. Powinno wystarczyć. W potrzebie dołożę, a jutro się obliczymy. Zdaje mi się—dorzuca, wyjmując i chowając szybko zegarek bez łańcuszka — żeście płacili za mnie praczkę; doliczy się i to przy sposobności.

Po tych słowach żegna Wandę, podając jej rękę ze swobodą koleżeńską.

Ale jeszcze sobie coś przypomniał.

— Wieczorem — mówi już z głębi swego pokoju—przyjdzie do mnie oryentalista jeden i dwóch klasyków. Zacne móle. Będę miał z nimi gadania do północy. Bądźcie łaskawi przysposobić większy zapas herbaty i *petit pain'ów*. Można dołożyć ze cztery „sendwicze.“

Drzwi zamykają się. Rozmowa „małżonków” skończona.

Tak to wszystko stało się prędko, że Wanda jest dotąd jeszcze jak oszołomiona.

Jakieś nadzwyczajne trafy, osobliwe zbiegi okoliczności składały się, aby rzecz całą przeprowadzić z pośpiechem bajecznym.

Miesiąc zaledwie upłynął od dnia, w którym Popiołek, zadyszany i rozczochrany wpadł do Brzeskich z krzykiem: „*Gaudeamus igitur!* Jest Cieński!” — a oto Wanda, jako pani Cieńska, mieszka już na bulwarze świętego Michała, w dzielnicy rojącej się studentami i studentkami, i studjuje w Sorbonie wyższą matematykę.

Tam, w Warszawie, z zamkniętemi oczyma dała się ona powodować Popiołkowi i Brzeskiej. Oni dwoje wszystko za nią ułożyli i wykonali. Co prawda, prócz osobistej energii, mieli silnego sprzymierzeńca w idei, która opanowała niepodzielnie umysł Wandy, każąc jej przez wszystko i mimo wszystko, zdążać do celu.

Jeden traf zrządził, że Cieński znajdował się przejazdem w Warszawie, drugi — że go Popiołek przydybał w jakiejś antykwarni, szukającego „Gramatyki Sanskryckiej” Skorochoda Majewskiego, trzeci — że Cieński, przestudyowawszy już medycynę i prawo, i przerzuciwszy się ostatecznie do filologii, jechał właśnie do Paryża, gdzie miał studyować specyalnie języki wschodnie.

Sprawa poszła z nim łatwo. Najpierw był to człowiek usposobienia nadzwyczaj zgodnego, następnie małżeństwo we wszelkiej formie było dlań rzeczą o wiele mniej ważną, niż naprzykład odgadnięcie właściwej myśli którejkolwiek z „upaniszatów,” będących, jak wiadomo traktatami w skład „Wed” wchodzącymi.

kiem,
rzaną stopan on obowiązek towarzyszenia i „mę-
głosem krzyk ocej sobie, ale intelligentnej ko-
— Janku ıkąż samą uprzejmą gotowością,
wiedz piwn ıjąłby się przewiezienia małej po-
tu dostaw
go wina, a ułożyła list, w którym Wanda
biegaj!... ıała rodziców za samowolę, apelowa-
Chłopie ı serca, tłómaczyła, że co się stało
się z zam się już nie może, a w końcu, dono-
na wyday znalazła starającego się, prosiła o ze-
i błogosławieństwo.

— Dzście „pomiędzy wierszami" czytało się, zamasz rawa małżeństwa i wyjazdu jest już o doecznie postanowiona, i że byłoby trudem nadaremnym przeciw niej w jakikolwiek sposób występować.

Skutek listu był taki, że w kilka dni po wysłaniu go, do mieszkania Brzeskich silnie zadzwoniono, i wbiegła zalana łzami Dalewiczowa, wołając na cały głos:

— Gdzie moja Wanda? Gdzie moje dziecko najdroższe?

Te łzy i ten okrzyk dobrze wróżyły — jakoż, przy połączonych zabiegach Popiołka, obojga Brzeskich i Wandy, uzyskano dla tej ostatniej przebaczenie.

Roztargniony, mizerny i wcale nie nadskakujący Cieński, nie mógł kasyerowej przypaść do smaku. Usposobiono ją wszakże dobrze dla niego oświadczeniem, że nie wymaga posagu i zrzeka się wyprawy. Rozumie się, że wynikało to z samego charakteru zamierzonych związków.

Dalewiczowa próbowała sprzeczać się, obstawała zwłaszcza za wyprawą, bez której trudno jej było pojąć małżeństwo... Powiedziano jej, że rodzinne interesa narzeczonego wymagają nadzwyczajnego pośpiechu, i że na szycie, haftowanie, znaczenie bielizny i t. p. stanowczo niema czasu. Zresztą rzeczy niezbędne kupi Wanda zagranicą, gdzie wszystko tańsze i w lepszym gatunku.

W ten sposób przeprowadzono zwolna wszystko, co było potrzebne do zawarcia owego „tytularnego" małżeństwa. Ślub dla pewnych formalności, u nas niedopuszczalnych, odbyć się musiał zagranicą. Cieński wyjechał wcześniej; wkrótce po nim wyruszyła Wanda w towarzystwie matki i Brzeskiej.

Popiołek zaraz po szczęśliwem przeprowadzeniu sprawy, pośpiesznym pociągiem odjechał do uniwersytetu.

Dalewiczowa odprowadziła córkę tylko do granicy. Choroba męża i... przedzimowe porządki wymagały śpiesznego jej powrotu. Dalej pojechała z Wandą matkująca jej Brzeska.

Przy pożegnaniu Dalewiczowa zniewoliła córkę do przyjęcia sporej walizy, którą *quand même* wypełniła nową bielizną.

Pod bielizną Wanda znalazła inne jeszcze rzeczy. Był tam zawinięty w papier symboliczny chleb z solą, była książka do nabożeństwa i różaniec; było wreszcie tajemnicze pudełko, mocno owiązane sznurkiem i opieczętowane.

Wanda, ciekawa jedynie zagadek wiedzy, nie śpieszyła się z otwieraniem tego pudełka. Dopiero w podróży poślubnej zajrzała do niego.

Odbyło się zaś to w okolicznościach dość znamiennych.

Pociąg kuryerski szybko unosił „młode małżeństwo" w stronę Paryża. Na jednej stacyi sprzedawano wyborne owoce. Kupił ich dla siebie Cieński, kupiła dla siebie i Wanda.

Gdy pociąg ruszył, przekonali się oboje, że nie mają czem owoców tych ani obrać, ani pokrajać. Cieński oświadczył, że jak żyje nie miał scyzoryka, a gdy chodził na medycynę, posługiwał się starym skalpelem. Wanda przypomniała sobie, że ma pomiędzy rzeczami nóż składany, i szukać go jęła w dużej torbie podróżnej, którą zabrała ze sobą do wagonu.

Noża nie znalazła, ale natrafiła na owo szczelnie zamknięte pudełko.

— Może go matka tu umieściła? — rzekła i wzięła się do kruszenia laku i rozplątywania sznurków.

Trwało to dość długo. Cieński pilnie się przyglądał, ciekawy rezultatu.

Nareszcie wierzch pudełka odskoczył. Wanda zajrzała do środka i zaczerwieniła się po same uszy.

— Cóż tam takiego?—zapytał Cieński.

— Dzieciństwo!.. Mamy zawsze trzymają się... niewłaściwości. Nie pojmuję doprawdy, jak można być w tym wieku tak dziecinną.

— Pokażcie. Cóż to jest tam nareszcie?

Cieński założył binokle i długą szyję wyciągnął.

— Jeśli się nie mylę... lalka!—wyrzekł z powagą uczonego, który stwierdza gatunek mało znanego owadu.

— A tak, lalka. Ta sama, którą bawiłam się będąc małą dziewczynką.

— I na cóż to?

— Czy ja wiem!

Wzruszyła ramionami, zamknęła napowrót pudełko i wsunęła je w róg siedzenia.

Znalazł się wreszcie nóż, i zaczęli oboje raczyć się smacznemi gruszkami.

— Takie same gruszki—rzekła nagle Wanda—jadłam na wsi u chrzestnej matki. Smak i zapach tych owoców jak mi wiele przypomina! Byłam wówczas małem dziewczątkiem, bawiłam się lalką...

Oczy jej zapłonęły. Dodała żywo:

— Ot, tą samą lalką, co nas przed chwilą tak zadziwiała!

Ruchem nerwowym sięgnęła po pudełko i wydobyła maleńką krakowiankę w aksamitnym, błyszczącym od szychu gorsie, w białej, naszywanej różnobarwnemi wstążkami spódnicy.

Przygiądała się jej przez chwilę z obojętną ciekawością, potem w twarzy jej i w oczach zabłysło żywe zajęcie; wreszcie jakby nieumyślnie, położyła rękę na konopianych włosach lalki i—gładzić je zaczęła.

W tej chwili odezwał się stłumiony, jakby astmatyczny śmiech Cieńskiego.

Spojrzała nań zawstydzona i rękę cofnęła.

— Z czego śmiejecie się? — cierpko spytała.

— Z czegóżby, jeśli nie z waszych pensyonarskich sentymentów. Do licha! Miałem was za intelligencyę niezależną, widzę tymczasem, że wasz duch chodzi jeszcze w pieluszkach.

Silnie pobladła i istnym piorunem z czarnych źrenic strzeliła.

— Dlaczego tak o mnie sądzicie? — syknęła przez zęby z widocznem rozdraźnieniem.

— Widziałem jak was rozczuliło wspomnienie dzieciństwa.

— Więc cóż?

Ten sentyment towarzyszy albo starczemu zwyrodnieniu zwojów mózgowych, albo też ich—niedojrzałości.

— Fałszywie mnie sądzicie! — wykrzyknęła z gniewem.—Wiem, że czułość, to wróg największy całej płci mojej, i—umiem się z niej wyzwalać!

Przy tych słowach zerwała się z kanapki, chwyciła lalkę i—wyrzuciła ją przez otwarte okno wagonu.

Na tem zakończył się ten epizod, a następstwem jego było wyraźne zwiększenie się objawów szacunku ze strony Cieńskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sprawozdania literackie.

St. Zdziarski: Maurycy Gosławski, zarys biograficzno-literacki.

Księgarnia polska w Petersburgu rozpoczęła wydawnictwo całego szeregu biografij sławnych Polaków. Bardzo słusznie zrobiono, zwracając się przedewszystkiem nie do najsławniejszych, lecz do tych napoły zapomnianych osobistości, którym dotąd pobieżne jeno poświęcano wzmianki, a które przecież w panteonie naszym mieścić się winny. Szkoda tylko, że kierując się zapewne względami korzyści materyalnych, dziwną z tych zmarłych utworzono mięszaninę, że w jednym szeregu z Adamem Asnykiem, T. T. Jeżem, Mieczysławem Romanowskim i t. d. pomieszczono Aleksandra Wielopolskiego, Henryka Rzewuskiego i tym podobnych.

Różnorodnym też jest skład redakcyjny omawianego wydawnictwa. Niektóre życiorysy wychodzą z pod piór pierwszorzędnych krytyków naszych, inne napisane bardzo słabo, robią zawód czytelnikom.

Uwagę naszą zwrócił życiorys Maurycego Gosławskiego, nie ze względu na obrobienie, które właśnie do lichszych zaliczyć musimy, lecz na zapomnianą a tak sympatyczną postać śpiewaka niw podolskich.

Są poeci, których nazwiska przechodzą do potomności w aureoli złotej i przypominają się współbraciom całym szeregiem dzieł wsławionych. Są inni, których nazwiska rozwiewają się szybko we mgłę zapomnienia, a pozostaje po nich jakieś kilka zwrotek, czasem wierszy kilka, które zapadłszy głęboko w serca współczesnych, długiem echem rozbrzmiewają później, budząc zawsze serdeczne jakieś wzruszenie. Do tych ostatnich liczy się Gosławski.

Autor życiorysu Gosławskiego zebrał, jak się zdaje, dość pracowicie szczegóły biograficzne zatarte już przez czas, zaginione lub podawane mylnie przez dawniejszych biografów poety. Zasługę jego zmniejsza fakt, że

dzielnego miał poprzednika w znakomitym znawcy dziejów Podola, historyku Rollem.

Z powodzi przedługich, niejasnych i zgmatwanych frazesów p. Zdziarskiego, postaram się wybrać rzeczy najważniejsze, by we wspomnieniach czytelników zapomnianą postać Gosławskiego na nowo utrwalić.

Maurycy Gosławski urodził się 5 Października 1802 r. we Frampolu, gdzie matka jego zatrzymała się w przejeździe. Rodzice jego acz szlacheckiego pochodzenia, nie należeli do klasy posiadaczy ziemskich i nie byli przez fortunę szczodrze uposażeni. Ojciec jego najpierw dzierżawca, potem administrator dóbr pańskich, osiadł na dłuższy czas w Nihinie, majątku Branickich. Tam przyszły poeta dzieckiem rozkochał się tak w szumie stepowego wiatru, w szeptach kurhanów, w jarach i wzgórzach, w spienionych nurtach Smotrycza, że był potem jako ów emir Słowackiego, co i w noc poznałby te stepy „po kwiatów rodzinnych zapachu.“

Oddany do szkół powiatowych w Kamieńcu Podolskim, przeszedł w r. 1821 do słynnego lyceum Krzemienieckiego. Nigdy Polska nie była tak rozpoetyzowana, jak w owej dobie świtającego romantyzmu. Każdy młodzieniec pisał wiersze, każdy czuł w sobie iskrę poetycką. W tej atmosferze nie dziw, że Maurycy od ławy szkolnej począł tworzyć wierszyki o rytmie lekkim, łatwo wpadającym do ucha i sympatycznie witanym. W r. 1824 opuścił o ile się zdaje Krzemieniec i rzucił się na guwernerkę, zawód w owym czasie bardziej ciernisty, niż dziś. Miłość nieszczęśliwa, bo zatruta kwasem przesądów rodowych, usposobiła go melancholijnie na żywot cały.

Zakochawszy się w p. Michalskiej, córce swych chlebodawców i pozyskawszy jej wzajemność, poeta starał się zwalczyć uprzedzenia rodziny, zdobywając jakieś wyższe stanowisko, któreby pozwoliło im zapomnieć, że był tylko synem dzierżawcy. Z teką pełną młodocianych utworów wyjechał w r. 1827 do Warszawy, by w zawodzie urzędniczym próbować szczęścia. Był już wtedy autorem „Podola“ dłuższego poematu, zawierającego w sobie i opisy zwyczajów, obrzędów ludu podolskiego, i wspomnienia z wojen turecko-tatarskich, i obrazy przyrody miejscowej, jednem słowem coś, co zakrawało na epopeę, było jednak tylko młodzieńczą i słabą dosyć próbą talentu. Wyjątek z tego poematu drukował „Dziennik Warszawski,“ jak również dumę „Nyczaj“ i fragment z „Tęsknoty.“ Gosławski dostał się w Warszawie do literackiego grona, które gromadził u siebie w owym czasie hr. Wincenty Krasiński.

Niezadługo jednak poróżniwszy się, podobnie jak ogół cały z tym protektorem, wyjechał w r. 1828 z Warszawy, nie zdoławszy dobić się urzędu. Jedynym rezultatem tego pobytu w stolicy Królestwa był tomik utworów poetyckich, zawierający „Podole,“ dumę o „Nyczaju“ i kilka drobnych wierszy.

Osiadłszy w Galicyi, napisał tam poemacik „Renegat,“ w którym właśnie mieści się owa popularna dumka „Gdyby orłem być.“

Narzeczona, choć dosyć wytrwała w uczuciu, zaczynała ulegać wpływom rodziny, i wreszcie powodowana błahą jakąś plotką zerwała stanowczo z poetą. Do wszystkich innych goryczy dodany cios ten, pognębił Gosławskiego. Zmarł w 1834 r.

Żył zbyt krótko, by o talencie jego wyrokować można. Zdolności jego byłyby się może rozwinęły z czasem.

C.

ELEKTROID.

(Polonicum).

Jeśli doniosłość odebranych dotąd wiadomości z Galicyi umniejszoną nie zostanie — jeśli zamiast odwołań i usprawiedliwień otrzymamy owszem dalsze objaśnienia i szczegóły, w takim razie powie kiedyś historya, iż pewien, jak chcą mieć Niemcy, pośledniejszej kulturalnej wartości naród, udarował cywilizacyę przy schyłku stulecia odkryciem, obok którego żadna z poprzednio osiągniętych zdobyczy wiedzy przyrodniczej postawioną być nie może.

Zgadujecie zapewne czytelnicy, że tem upośledzonem plemieniem nie może być nikt prócz nas, boć stawiani codziennie pod zarzutem owej niższości i młodszości wobec cywilizacyi, mieliśmy już czas oswoić się z wyznaczonem nam stanowiskiem. Co się zaś tyczy rozmiarów onej cegiełki, którąbyśmy tym razem dołożyli do gmachu wiedzy wszechświata, o tej dać wam może pewne pojęcie wiadomość, którą przedstawiamy poniżej, zawsze na wiarę i odpowiedzialność pism, w których się ona ukazała.

Nic nie dodając od siebie, idziemy w tem sprawozdaniu naszem dosłownie za tekstem referatu, który się ukazał najpierw w łamach „Kur. Warsz.“ w d. 18 i 19 Lutego—następnie w innych. W pierwszym dniu treściwa wzmianka podznaczoną była literami: L. Gr.—w drugim obszerniejsze już sprawozdanie nosi podpis: Ignacy Grabowski. Oto rzecz, tak jak się o niej dowiadujemy z „Kuryera,“ a która elektryzuje, jak głoszą, już od dwóch tygodni cały świat naukowy Europy.

Rodak nasz, Franciszek Rychnowski, inżynier z zawodu, Lwowianin, z którego nazwiskiem spotykali się już parokrotnie czytelnicy „Tygodnika,“ zbudował przyrząd przy pomocy którego otrzymuje to, co nazywa tymczasowo *elektroidem.* Inżynier Rychnowski, jako pracownik na polu elektrotechniki, otrzymał już poprzednio w Paryżu medale za maszynę dynamo-elektryczną i kaloryfery, a w Wiedniu wynagrodzono medalami jego izbę dezynfekcyjną i przerywacz do dynamo-maszyny. Nad elektroidem, któremu zamierzył dać nazwę *polonicum,* pracuje od lat 15-tu.

Owocem tych długich trudów jest odkrycie, które jedni witają niedowierzaniem, inni z entuzyazmem, w poczuciu tego, że uczony polski ziszcza tym razem to, co w pracach swoich zapowiadali już: Crookes, Thomson i Brush. I wierzących i niedowiarków uderza jednak wielkość wynalazku, który jeżeli jest w istocie tem, czem się zapowiada, można będzie bez wahania nazwać najjaśniejszym promieniem umysłu ludzkiego, jaki zabłysnął w naszem stuleciu. Elektroid w takiem znaczeniu równałby się *odkryciu duszy zjawisk materyalnych*—odkryciu i ujęciu w kształt tego, co nazywamy *energią.*

Inżyniera Rychnowskiego oblegają już Anglicy i Niemcy, proponując mu sprzedaż wynalazku. Fizyk angielski Wilby za pośrednictwem konsorcyum angielskiego nadesłał do Lwowa obszerny referat, dotyczący jego własnych na przyrząd Rychnowskiego zapatrywań, w którym między innemi tak się wyraża:

„Wszystkie fantazye Juliusza Verne'a sprawdziły się. Elektroid będzie podstawą nauki XX stulecia. Jest to energia, która sprawi rewolucyę w nauce, przemyśle i pojęciach.

Przedstawiciel niemieckiego towarzystwa elektrycznego, Schultze, zowie elektroid maszyną robiącą: „das neue Gas.“ W odezwie swojej, wzywającej do Berlina wynalazcę mówi:

„Zdaje się, że cały szereg zjawisk tajemniczych dotąd niewytłómaczonych, a zaliczanych często przez ludzi nauki do sztuczek szarlatanizmu, przedstawi się jaśniej w oświetleniu tego odkrycia.“

Temi słowy kończy się wzmianka dnia 18 Lutego podznaczona cyframi L. Gr.

Sprawozdanie dnia następnego rozpoczyna „Kuryer“ przytoczeniem słów prof. dr. Jana Roszkowskiego.

„Jakie działanie sprawia elektroid?

„Jak rzekłem, stanęliśmy u wylotu niewielkiej maszynki, której mechanizm jest dotychczas tajemnicą wynalazcy. Na twarzy czujemy chłodny powiew. A więc to, co wypływa niewidzialnie z aparatu działa na nasze czucie. W powietrzu czuć lekki zapach ozonu bez tlenku azotowego. Ten gaz czy ta siła nieznana działa więc na powonienie. U wylotu widzimy jasno-zielony punkcik, który pochwycony na kliszę fotograficzną, przedstawia gwiazdę z bardzo zwartych promieni. Promienie te pod mikroskopem przedstawiają się jako szereg kulek. Substancya działa tedy na wzrok.

„Kierujemy wylot przyrządu Rychnowskiego na ciało mogące się obracać około własnej osi (doświadczenia robiono z ciężarami ważącymi 80 do 100 gramów). Przedmiot zaczyna wirować szybkim ruchem. Zastawiamy wylot przeszkodą w postaci tafli szklannej—przedmiot wiruje w dalszym ciągu. Jednocześnie klisza fotograficzna chwyta światło, otaczające przedmiot wirujący. Światło to kręci się w kierunku przeciwnym obrotowi ciała. Uderzająco podobnie wiruje ziemia ze swojem światłem słonecznem — z następstwem dni i nocy.

„To, co się dobywa z wylotu fotografuje bez pomocy aparatu.

Przechodząc koleją zachowywanie się wobec elektroidu lampki Edisona, rurki Crookesa i magnesu, nadmieniwszy, że posiada on przytem pewne własności promieni Röntgena, i że wywołuje w metalach własności elektryczne, co dowodzi, że posiada energię elektryczną, mówi dalej o innych jego własnościach:

„Substancya nosi w sobie niejako i siłę plastyczną, twórczą. Wywołuje krystalizacyę roztworów; białko pod jej wpływem układa się w oryginalne kształty, a nafta poddana uprzednio jej działaniu, rozkłada się na związki zupełnie inne, niżeli te, które powstają w warunkach zwykłych.

„Substancya elektroidu działa zabójczo na wszelkie drobne ustroje chorobotwórcze, a mięso poddane jego działaniu może pozostawać bez zmiany przez kilka miesięcy.

„Pod wpływem owego powiewu chłodnego, który się wydziela z aparatu, rozkwitają pączki kwiatów.

Tak zwane czary ludów wschodu zaczynałaby tym razem objaśniać nauka.

Skoro tedy niema ani jednej bodaj gałęzi wiedzy przyrodniczej, z którą owo „coś“ otrzymane przez Rychnowskiego nie pozostawałoby w związku, zobaczmy jak ukazuje się to „coś“ w orzeczeniu Lwowskiej komissyi Towarzystwa politechnicznego, która zbadała odkrycie. Oto słowa tej komissyi:

„To, o czem mówi do nas odkrycie to, jest coś, co przypomina i materyę i energię, albo nową formę materyi.

„A więc w takim razie, byłżeby to ów jeden jedyny pierwiastek, ktory jest treścią wszystkich ciał żywych i martwych? Ów jeden i ten sam, który tworzy atom wodoru, węgla i złota?

„Nowa forma materyi? Ale chyba forma najwyższa, bo podporządkuje sobie wszystkie inne. Wszak wydaje się to jednocześnie ruchem mechanicznym i światłem — elektrycznością i siłą kształtującą. Czyby było i substancyą promienistą Crookesa—czy wreszcie ową energią, jak ją rozumie W. Thomson — energią, która jest sama w sobie jednością — wszystkiem w przyrodzie?

„Dzisiaj wiedzieć tego niepodobna.

„Nie posiadamy jeszcze naukowej oceny odkrycia Rychnowskiego, o żadnej więc ścisłości nie może być mowy. Ale że cel, jaki sobie wytknął nasz rodak w pracy swojej wypływa z poglądów najtęższych głów w Europie, a cel ten dziś lub jutro osiągniętym być może — w to wierzyć potrzeba. Wilby nazywa to odkrycie największem w naszem stuleciu. Jeśli tak jest w istocie, jak się wydaje dziś, to byłoby ono w istocie największem, a przy jego świetle mogłoby pracować kilkanaście pokoleń.

„Chwytamy, badamy, mamy w ręku już nie formę przedmiotu, który nazywamy wodorem, ciałem, złotem — nie siłę wypadkową, którą zwiemy światłem, elektrycznością, ruchem, ale *mielibyśmy chyba w takim razie jakąś cząstkę ich treści—ich to, co je czyni zdolnemi do bytowania, mamy może energię wewnetrzną niezależną od czasu, przestrzeni i tego, co nazywamy materyą.*

Tyle przyniósł nam „Kuryer Warsz.“ W miarę jak wyjaśnienia napływają, możemy powiedzieć tylko to, że istota odkrycia w zasadzie nietylko kwestyonowaną nie jest, ale przybywa co do niej danych bliższych. Bawiący w Warszawie obecnie prof. Roszkowski przywiózł ze sobą nieco szczegółów, których udziela odwiedzającym go przyrodnikom naszym wraz z fotografiami aparatu i zjawisk, przy jego pomocy otrzymanych.

Trzeba przyznać, że Warszawa bardzo rozmaicie zachowuje się w tej okoliczności. Niezależnie od entuzyastycznych słów tych, którzy radziby, aby odkrycie dla chwały tego, który go dokonał i dla chwały jego społeczeństwa, okazało się prawdziwem, są też i wprost przeciwne zapatrywania.

Ludzie w nauce znani wcale nie chcą słuchać o odkryciu, dopóki inżynier Rychnowski nie okaże swego odkrycia bez osłon i tajemnic wszelkich. Dziwić się im nie można, bo oni ze swego stanowiska zdają się mieć słuszność za sobą. Czy ma słuszność inżynier Rychnowski, że się okazuje, przed zabezpieczeniem swojego prawa własności, mało skłonnym do opowiadania o niem urbi et orbi?

Nam się wydaje, że mają również, chociażby tylko opierając się na tem szczególnem namiętnem naprężeniu, w jakie wprawia umysły każdy posłuch o wielkiej sławie i wielkich zyskach materyalnych. Zresztą to wszystko okaże przyszłość, byle samo odkrycie okazało się tem, czem się przez usta wtajemniczonych zapowiada.

Red—

„Życie” krakowskie.

Przyobiecaliśmy przed czterema tygodniami czytelnikom naszym słów kilka wiadomości o wystąpieniu zgrupowanych pod przewodnictwem p. Przybyszewskiego najnowszych kierunków naszego piśmiennictwa, które sobie za organ obrały „Życie,“ dwutygodnik krakowski. Bez wdawania się w wywody zkąd się wziął kierunek i stawiania horoskopów dokąd on zaprowadzić może, ułatwiamy „Życiu“ samemu przemówienie za sobą do szerokich kół czytających, a ułatwiamy tem chętniej, że widać w nim szczerość nieograniczoną, nie oglądającą się bynajmniej na to, w jaki sposób takie „confiteor“ przez ogół czytający przyjętem być może. Jeśli nie zrobi to wyznanie wyłomu, nie trafi do przekonania czytelników, nie naszą to będzie winą, bo jakkolwiek nie podajemy wstępu programowego w całości, podajemy z pewnością jego ustępy najcharakterystyczniejsze. Zresztą piśmiennictwo nasze bogatem jest przecież w rozmaite takie wypowiadania się świeczników jego, choćbyśmy tylko przypomnieli sobie „credo“ tego, który mówił... że z marami swemi taniec po dolinach wiedzie, a każda z nich co chce z jego serca bierze: sonet, tryolet, legendę lub odę, wszystko, „co kocham, mówił, w co wierzę.“ W co wierzę — tu mię spytasz, czytelniku, w co? Jeśli powiem, będzie wiele krzyku.

Gdyby się najmłodsi nie byli tak po olimpijsku oznajmili i niezajęli, w stosunku do ogółu, stanowiska tak nadzwyczajnie wyłącznego i tak niebywałego, moglibyśmy dzisiaj zacząć naprzykład od życzeń, aby ich słowo narobiło także, choćby po latach, krzyku podobnego.

Nie mając w danym wypadku obowiązku ani ochoty do składania życzeń podobnych, przystąpimy odrazu do programu pisma i do stosunku artysty do społeczeństwa, tak, jak go pojmuje „Życie.“

„Jacyż odmienni — jacy w niczem do tamtych niepodobni!“ Oto słowa, jakie się po odczytaniu kilkunastu wierszy gwałtem cisną na usta. Przepaść między starym światem, a tym nowym, dzisiejszym.

„Sztuka, mówi credo, jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłem, ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc odtworzeniem istności, t. j. duszy.

„Artysta odtwarza życie duszy we wszystkich przejawach; nic go nie obchodzą ani prawa społeczne, ani etyczne, nie zna przypadkowych odgraniczeń nazw i formułek — żadnych z tych koryt, odnóg i łożysk, w jaki społeczeństwo olbrzymi strumień duszy wepchnęło i osłabiło go. Artysta, powtarzam, zna tylko potęgę, z jaką dusza na zewnątrz wybucha.

„Sztuka nie ma żadnego celu — jest celem sama w sobie—jest absolutem duszy. A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejkolwiek idei — jest panią, praźródłem.

„Sztuka stoi nad życiem.

„Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka rozrywka, sztuka patryotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się *biblia pauperum* dla ludzi nie umiejących myśleć, albo zbyt mało wykształconych, by módz przeczytać odnośne podręczniki. Dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka.

„Działać na społeczeństwo pouczająco albo moralnie, rozbudzać w niem patryotyzm albo społeczne instynkta za pomocą sztuki, znaczy to poniżać ją, a artysta, który to robi, niegodny jest miana artysty.

„Sztuka demokratyczna dla ludu jeszcze niżej stoi. Sztuka dla ludu, to wstrętne i płaskie banalizowanie środków, jakimi się artysta posługuje — to plebejuszowskie udostępnienie tego, co z natury rzeczy jest trudno dostępnem.

„Dla ludu chleba potrzeba nie sztuki, a jak będzie miał chleb, to sam sobie drogę znajdzie.

Dotąd jakoś znośnie jeszcze. Można to wszystko zwalczać, ale zadziwienia ni smutku, nie wywołuje to jeszcze. Posłuchajmy jednak co mówi „Credo“ dalej:

„Tak pojęta sztuka staje się najwyższą religią, a kapłanem jej—artysta. Ten artysta to: „ipse philosophus, daemon, Deus et *omnia.* (*Excusez du peu*, jak mówią Francuzi).

„Artysta nie jest sługą ani kierownikiem—nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei, żadnemu społeczeństwu.

„Artysta stoi po nad życiem, po nad światem, jest panem panów, niekiełznany żadnem prawem, nieograniczony żadną siłą ludzką. Jest on zarówno *świętym* i *czystym*, czy odtwarza największe zbrodnie, odkrywa naj-

wstrętniejsze brudy, jak gdy oczy w niebo wbija i światłość Boga przenika.

„Artysta, który pragnie poklasku, a skarży się na małe uznanie tłumu, stoi jeszcze w przedsionku sztuki, nie czuje się jeszcze panem, który łask nie żebrze, tylko je hojną ręką na tłum rzuca i nie pragnie podzięki. Tej pragnie tylko plebejusz w duchu — tej pragną tylko dorobkiewicze.

„Artysta, który się skarży, że rozrzucając skarby swego ducha, kala swą duszę przez zetknięcie się z tłumem, przeszedł święty próg, ale się myli. Człowiek nieuznający żadnych praw, stojący po nad tłumem, ponad światem kalać się nie może.“

Jest tam jeszcze i więcej tego, ale myślimy, że czytelnik może sobie resztę dośpiewać, a że wszystko w tym duchu, tonie i nastroju, przeto i wykrzykników podziwu oszczędzić mu chcemy. My z naszej strony zapewnić tylko możemy ze smutkiem, że wszystko jest autentyczne, wiernie przez nas przytoczone.

Wrażenie jest tak pognębiające, że mogłoby nawet uwolnić od drobiazgowego rozbioru treści, bo niby co można dać czytelnikowi, który bądź co bądź liczy się do ogółu, zapowiedziawszy się w ten sposób. Aby jednakże czytelnik nie posądził nas, żeśmy go jakichś arcydzieł pozbawić chcieli, damy mu próbkę słowa tych, którzy dla tego nie lękają się ocierać o tłumy, że są nietykalni całą wyższością swoją, którzy umieją gardzić ideami, odtrącać wszystko, co jest życiem, ludzkością i jej doskonaleniem się, a ponieważ poezya używała dotąd prawa pierwszeństwa, zaczniemy od rymów, które ją w „Życiu“ przypominać mają niby.

W pierwszym zaraz numerze spotykamy dwa sonety p. Władysława Orkana. Pan Orkan to ten sam, który wydał już jeden tomik swoich poezyi, wzmiankowanych niedawno nawet w sprawozdaniach „Tygodnika.“ Obecnie dokończył „Kuryer Codzienny“ jego powiastki na tle życia górali Tatrzańskich — więcej nie znamy i zapewne wiele więcej być nie może, bo pan Orkan, o ile nam wiadomo, jest bardzo młodziutki.

W pierwszym sonecie przedstawia on siebie na „Wirchu“ Tatrzańskim. Spogląda ztamtąd oczywiście na dół, widzi sioła i siedliska ludzkie, i dziwuje się urągliwie, jakie to wszystko skarlałe, jakim ten świat jest cmentarzyskiem i jak on przed nim — przed panem Orkanem niby, *pochylił czoło.* (Nadzwyczajnie trafna obserwacya), ale wraz z tem w duszy jego „dziwny żal się budzi, że słuchał kiedyś (zapewne bardzo dawno) ludzkich pustych widowisk — że był maleńką mrówką pośród... mrowisk.

Ale za to teraz już nie jest mrówką. Zobaczymy czem jest w drugim sonecie, bo ten już zasługuje na przytoczenie w całości, jako curiosum w swoim rodzaju.

Ze szczytu patrzę w dal... i *dziwnie dumny*
Przebiegam okiem zmienne krajobrazy,
Podemną siadły nizinne upłazy
I legł świat cały gwarliwy i tłumny.

Zniżył się w dole i zapadł... lot szumny,
Echem się w górach odbije sto razy,
A nie doleci zapadłej oazy,
Na którą patrzę spokojny i *dumny.*

I taką czuję trwogę do powrotu,
I taką bojaźń szarej, prostej trumny,
A taką rozkosz podniebnego lotu,

Że choćby z wirchów upaść od zawrotu,
Ciało roztrzaskać o głazy—kolumny
I skonać—skonam spokojny i *dumny.*

O ile wiemy nie skonał dotąd, a jest to bardzo pocieszające, bo zauważyli zapewne czytelnicy, że pan Orkan aż trzy razy powiada nam, jak nadzwyczajnie jest dumnym, a ani razu nie daje do zrozumienia z czego i dlaczego. My już wogóle tak wiele nasłuchaliśmy się od wieszczów ostatniej doby o tem, jakie to oni dumne mają serca, i tak już syci jesteśmy tej dumy, a raczej tej pychy niczem nieusprawiedliwionej, że radzibyśmy się nakoniec raz dowiedzieć, co ich wszystkich razem do tego uczucia upoważnia, choćby w własnem pojęciu. Teraz oto znowu dowiadujemy się, że przybył jeszcze jeden dumny, ale i ten nam zagadki nie rozwiązuje. Powiada, że jest dumny i na tem koniec. Skaranie Boże prawdziwe!

Z innych poezyi, znajdujemy jeszcze utwory rymowane Micińskiego, braci Brzozowskich, przytem tłómaczenia z Baudelaire'a i Verlaine'a. Tego ostatniego także w przekładzie p. Stanisława Brzozowskiego, mieści numer 3-ci sonet „Z księgi mądrości.“

Myślimy, że się lepiej usprawiedliwić nie możemy przed czytelnikami naszymi ze stałego zaniedbania w „Tygodniku“ tego całego działu rymotwórstwa obcych piśmiennictw i naszego własnego, jak przytoczeniem jednej podobnej próbki.

Nadzieja lśni, jak słomy ździebełka w stodole,
Czego lękasz się osy, szalonej swym lotem,
Patrz, słońce zawsze prószy w szczelinie gdzieś [złotem,
Gdybyś się zdrzemnął, łokcie oparłszy na stole.

Biedaku mój, tej wody choć wypij—źródlana,
Zimna. Śpij potem. Widzisz. jam z tobą, zbądź [trwogi,
Pieszczotami otoczę twej drzemki sen błogi,
A będziesz jak dziecina nucił kołysana,

Południe bije. Przez litość, oddal się pani.
Śpi. Dziwne, że stąpanie kobiety tak rani
Mózg nieszczęsnych biedaków, dzwoniąc o ich [głowę.

Południe bije. Skropić kazałam w pokoju.
Śpijże, śpij! Nadzieja lśni jak kamień w wyboju,
Ach! kiedyż znowu róże zakwitną wrześniowe?

Tak! i migdały niebieskie również!

A więc albo wybuch pychy, dochodzącej do śmieszności, albo zboczenia umysłu! Wiecznie wizye, obłędy, hallucynacye — zawsze spotkać przychodzi w rymach tej plejady ostatniej, jakieś złowrogie rozstroje duszy, jakieś upadki, poniżenia i potworność. Szpitalem cuchnie to natchnienie całe, i to szpitalem potępieńców. Ani promyka światła, ani otuchy. Otchłań!

Jeśli taką mową przemawiają ci, co utrzymują, iż stoją po nad życiem i po nad światem; co się mienią sami panami panów, co rzucać chcą na tłum hojną ręką jakieś łaski imaginowane i fikcyjne, to niechajże nam wolno będzie uważać pomieszczenie się w szeregach tego tłumu za dosyć zaszczytne, choćby ze względu na to, że ten tłum jest i pozostanie na tego rodzaju łaski zupełnie nieczułym.

Wymieniliśmy między poetami i pana Micińskiego także, nie mamy zatem prawa pozbawiać czytelników próbek jego muzy. Oto wiersz noszący tytuł: „Pożegnanie:“

Bądź zdrowa! (Jak dziwnie brzmi dzwon)
Bądź zdrowa! (Lecą liście z drzewa)
Bądź zdrowa! (Miłość jest jak zgon)
Bądź zdrowa! (Wiatr złowrogo śpiewa)

Już nigdy! Rwie serce twój płacz!
Wymknął się z piersi niespodzianie.
Żegnam cię. Trzeba! I Ty, Boże racz
Litości!
W konie! Chryste Panie!

No, zapewne takiej poezyi będziecie mieć dosyć czytelnicy. Sprobujemy teraz dać wam próbki mowy niewiązanej, ale z tem przyjdzie nam chyba o wiele, wiele trudniej.

(*Dokończenie nastąpi*).

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

II.

El Christo de la luz.

Legenda Toledańska.

(Dalszy ciąg).

Dźwięki lały się, jak pluskanie wielkiego potoku, jak szmer głębokiej krynicy, jak szum wiatru ciągnącego przez gaj oliwny, aż z głębi, z poza tej jednostajnej, przeciągłej, mglistej gędźby, wytrysł spiew Rispy, jak z szelestu polnych kłosów, pienie skowronka.

Opiewała chwałę i świetność Syonu, przyszłości, tego kraju szczęśliwszej ludzkości, gdzie panować będą dobro i sprawiedliwość, gdzie nie będzie łez ani krzywd! Opiewała tego, którego ślubował Bóg, i który wzejdzie jak gwiazda na niebie, prorok i król, pasterz narodów! Przyjdzie w chwale, pomazaniec Pański, różdżka drzewa Dawidowego, większy niż Dawid, większy niż Salomon, wywyższony od Boga, jako chorągiew święta nad pokoleniem ludzkiem! Stanie na wyżynie Syońskiej, i w on dzień otworzy Jahwe rękę i zbierze ostatki swego ludu wybranego, i przyjdą z Assaru i z Mizraimu, z Patru, i z ziemi Kusz, z Elamu i Sennaaru, z Hamuthu, i z wysp mórz niepoliczonych, aby świadkami być chwały Syońskiej!

Tak śpiewała Rispa, a serca drgały w głębiach piersi wszystkich słuchających. Rozdźwięki harf i słodkiego jej głosu, mrąc, prze-

wiewały salę, i tu i owdzie stłumione łkanie odezwało się w ciszy, zdradzając wzruszenie, zapał, nadzieję radosną, które Rispa słowami swemi i artyzmem zbudziła.

Abisain był ze wszystkich najbardziej przejęty, bo własne niedawne widzenie stało znowu przed nim, wyzłocone jeszcze czarem śpiewu upajającym serce.

Dziewczęta powstały teraz, odłożyły narzędzia muzyczne, zdjęły wieńce z głów i weszły do sali. Szybko poczęły splatać małe bukieciki z fiołków i mirtów, które pierwej zdobiły im skronie, i rozdawać je gościom. Meribal wziął córkę za rękę i pocałował ją w czoło. Ciemny żar spuszczonych źrenic jej przesiewał długie promienie przez noc rzęs, ocieniających marmurowo białą, niepokalanie białą jej twarz. Mistyczna treść śpiewu pozostawiła w marzącym jej uśmiechu ślad niewysłowionego czaru. Ręce jej, trzymające bukiecik fiołków, drżały.

— Mój ojcze—szepnęła—komu dać mam te kwiaty?

— Komubyś chciała? — odpowiedział Meribal.

Rozmyślała przez chwilę. Spuszczone oczy napowrót się podniosły i spotkały źrenice Abisaina, z których biły blaski zachwytu i uwielbienia. Podniósł mimowolnie rękę ku dziewczęciu, jakby chcąc rzec: „Mnie się należy ten bukiecik!"

— Komubym te fiołki dać chciała? — powtórzyło w zamyśleniu za ojcem dziewczę.— A więc temu, kto najlepiej umie braci swych kochać!

I podniosła bukiecik ku Abisainowi, który szybko po niego sięgnął, ale Meribal szybszym jeszcze ruchem rzucił się między córkę i młodego człowieka.

— Nie!—rzekł, przenikliwie patrząc na niego—nie temu, Rispo, który braci swych najlepiej umie kochać, dasz swój bukiecik, lecz temu, kto wrogów swojego ludu najśmiertelniej umie nienawidzić!

Z oczu Abisaina strzeliły pioruny, a dziewczę zbladło.

— W takim razie te kwiaty będą jednak moje!—zawołał młodzieniec—bo pożarowi mej nienawiści ku temu, którego nazywają „Zbawicielem," nie dorówna nienawiść żadnego z was! Niech będzie przeklęty ten prorok fałszywy, którego wspomnienie i w tej uroczystej chwili w pamięć mą bluźnierczo się wdziera!

— Dowiedź prawdy swych słów i żaru swej nienawiści!—wykrzyknął Meribal—a twemi będą te kwiaty, i razem ręka, która je trzyma!

Abisain obejrzał się szybko i ostrożnie.

— Tutaj—rzekł—niepodobna mówić o mych zamiarach.

Piękne jego usta skrzywiły się ohydnie, i cała twarz na niekorzyść się zmieniła.

— Ojcze!—szepnęło dziewczę — wyprowadź mnie!

Obaj mężowie spojrzeli na nią i spostrzegli, że zbladła i walczyła z omdleniem. Abisain krzyknął boleśnie. Wszystko zbiegło się z pytaniami dokoła Rispy.

— Jestem tylko znużona—rzekło przezwyciężywszy się dziewczę, i zmusiło się do uśmiechu.—Proszę, wyprowadź mnie!—powtórzyła ojcu.

Goście szybko rozchodzić się zaczęli, a Meribal z Abisainem poprowadzili Rispę długim korytarzem do jej komnaty. Wspierała się na obu, a podpory tej było jej trzeba, bo słabła coraz bardziej.

U drzwi komnaty zatrzymał się Abisain, a Meribal skinął mu ręką na pożegnanie.

— Kiedy cię zobaczę?—spytał.

— Za godzinę, w sali godowej — szepnął Abisain, uśmiechem pełnym miłości żegnając Rispę.

— Opowiem ci rzeczy niezwykłe — szepnął jeszcze, odchodząc, Meribalowi, i gdy tenże z córką zniknął w mroku komnaty, wybiegł nareszcie na ulicę.

Miał zamiar z początku iść do domu, ale zdało mu się, że w zamkniętym pokoju się zadusi. Serce biło mu tak mocno, że aż tchu mu zaczęło brakować. Jął tedy błądzić raczej po mieście, i wmięszał się w tłumy na wielkim placu Zocodover, gdzie pod arkadami ciągnącemi się wówczas jeszcze dokoła, cała ludność Toleda zdawała się przechadzać i świeżego, wieczornego używać powietrza. Ale wesołe twarze tych znienawidzonych chrześcijan, uśmiechy ich i swobodne rozmowy, rozdrażniły go, a gdy jeszcze dzwony się ozwały i wszystko na placu obnażyło głowy, aby „Zdrowaś Marya" pobożnie odmówić, uciekł, jak poszczwany, w mrok najbliższych wązkich uliczek.

W ciszy ich uspokoił się; widzenie złotowłosej Rispy wróciło mu do duszy i napełniło ją, jako woń balsamów Jerychońskich. Oczy jego błądziły po frontonach domów i pałaców, nad których wrotami ogromne znaki, z kamienia ciosane, dumnie o rodzie mieszkańców oznajmiały—po oknach, których żelazne, kowane kraty, bogato liście swe i kwiaty rozkładały po rzeźbionych fryzach i gzemsach, aż w górę ku fantastycznym okapom, których rynny o kształtach nawpół zwierzęcych, nawpół dyabelskich, potwornie się wykrzywiały. Abisain nie wiedział na co patrzy, nie wiedział dokąd idzie, aż naraz znalazł się w bramie miejskiej. Przeszedł ją, spiesząc, kędy szum rzeki go nęcił. Zatrzymał się na prastarym moście Alcantara. Wieczorny chłód owiewał mu twarz, gwiazdy świeciły już teraz pełnym blaskiem po nad miastem. Toledo, granitowy ten pomnik chwały, królowało w chmurnym majestacie na stromych skałach, i strzelało ku ciemnomodremu niebu lasem wież, z pośród wysokich, oblankowanych murów, u stóp których przewalał się Tag, pieśń zawodząc głęboką. Kwitnąca na drugim brzegu vega upajała woniami ogrodów i pól, jak kadzielnica, uroczyście dymiąca przed ołtarzem.

Przejęty do głębi tym wspaniałym i wielkim widokiem, Abisain przypomniał sobie znowu idealny Syon, jak o nim przed synagogą marzył, i jak o nim i o jego królu Rispa śpiewała. Uśmiech szczęścia zajaśniał mu na twarzy, a nogi jego, jakby chcąc przywieść mu na pamięć, że miał wrócić pod strzechę, gdzie ona mieszka, kroczyły same, niejako bez wiedzy Abisaina, z powrotem do miasta. Stąpał, kołysany marzeniami o chwale Syonu i o liliowej krasie córy Meribalowej, stokiem pod górę, przeszedł bramę Valmardońską, wązką uliczką dostał się na mały placyk—i tam nagle zatrzymał się. Ucha jego dobiegł zbliżający się, słodki, cichy śpiew głosów kobiecych, tłum ludzi zalał plac, porwał go o kilka kroków ze sobą i przycisnął do ściany domu tak, że Abisain ruszyć się nie mógł. Spojrzał przed siebie i zatrząsł się ze wstrętu. Stał naprzeciwko pustelni Krzyża, przed samym jego kościołem—Chrystusa Światłości. A teraz zjawiły się i owe śpiewające kobiety w białych szatach, osłonięte białymi zawojami, każda z gorejącą świecą woskową w ręce. Była to procesya mniszek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wyjątek z poematu.

O poetyczne życie!.. Po kościołach
W ciszy wieczornej samotne dumania!
Błękity niebios w tęczach i aniołach
Widziane—jakby rajskie malowania!
Chwile złotego wschodu w cichych siołach—
Chwile zachodu nad morzami... grania
Tych harf wietrzanych, których struny trąca
Jedną z anielskich wstęg—przelatująca.

W wianku stuletnich lip—dębów i sosen,
Pod cichą tęczą gdzieś widziane dwory!..
Zalatująca z młodocianych wiosen
Kwiatów woń—którą oddychały bory...
Deseń pól—z zorzą malowanych krosien
Zdjęty... i smutnie śpiewane nieszpory
Przez wszystkie echa wietrznego organu,
Płynące falą gdzieś z nad łąk—i łanu...

Gdy zabrzmi hymnem taki chór nieszporny,
Wyprostują się zasłuchane kłosy...
I cały łan się uciszy, pokorny,
Nasłuchujący: czy anielskie głosy?..
Czy to daleki jaki dzwon klasztorny,
Płynący po łąk fali, pełnej rosy
Od kościelnego gdzieś odbity progu?...
A to świat pokłon przed snem czyni Bogu.

Modli się... „wszystkie nasze sprawy dzienne..."
Te źródła, które w znoju ledwo dyszą,
Zioła... te lilie smukłe, nadstrumienne,
Te łany, które z wiatrem się kołyszą...
Te kłosy, które w dzień wisiały senne,
A teraz niby zasłuchane wiszą,
Zarumienione zórz zachodnich tęczą
Wszystkie się naraz ozwały—i brzęczą.

I brzmi dziękczynień ta pieśń nieustanna—
Słodka... gdzieś w błękit idąca bezbrzeżnie...
Brzmi każde ptaszę, że je karmi manna
Niebieska, chociaż nie sieje i nie żnie...
I każda lilia, i każda dziewanna,
Że chodzi w strojach złociście i śnieżnie,
Piękniej, niżeli Salomon w swej pysze...
Dawno już przebrzmiał hymn... a wciąż go
[słyszę...

Nie czerpię barw tych i tęcz z wyobraźni...
Naturo! twój wdzięk czarów tych udzielał!..
Na tobie, piękna, to znać najwyraźniej
Ślad wiecznotwórczej ręki Stworzyciela!..
Ona to sercu, co się wyrwie z kaźni
Świata, tak cudnie twą twarz wyaniela,
W takie ją tęcze i w takie tęsknoty
Ubiera, że jest, jak wid raju złoty...

Stanisław Ostrowski.

KRONIKA.

Do upowszechnienia.

Warszawskie Towarzystwo Hygieniczne odezwą swoją z dnia 18 Lutego 1899 r. zawiadamia o utworzeniu pod przewodnictwem dr. Teodora Dunina, osobnej komissyi, która zajmie się opracowaniem i przygotowaniem sprawy założenia w naszym kraju z ramienia Towarzystwa, uzdrowiska lub uzdrowisk dla niezamożnych suchotników. Odezwę swoją kończy Tow. Hygieniczne temi słowy:

„Sprawa to doniosła i paląca—doniosła też równie i paląca rzeczą jest jak najrychlejsze zgromadzenie funduszów, potrzebnych na koszta założenia tej instytucyi. W tym celu w myśl ustępu II § 11 Ustawy Tow. Hygienicznego, Rada Tow. postanowiła zbierać ofiary na sanatoryum dla suchotników, a ufając, iż pisma miejscowe nie odmówią swego w tej mierze gorącego poparcia, uprasza niniejszem Sz. Redakcyę „Tygodnika Mód” o otworzenie w swem piśmie osobnej rubryki ofiar.”

Czyniąc zadość wezwaniu i przypominając, jak gorąco występowaliśmy w piśmie naszem przed rokiem, polecając pamięci ogółu ten niezaprzeczenie najniezbędniejszy z zakładów filantropijnych, zawiadamiamy wraz z tem o gotowości przyjmowania przez Redakcyę ofiar na ten cel nadsyłanych.

Przegląd mód.

Z zagranicy, gdzie słońce cieplej ogrzewa, niż u nas, przychodzą wieści o nowych zmianach w stroju kobiecym.

Żakiety wiosenne w tym roku odznaczają się zbytkiem, wykwintem na wewnątrz — nic dość pięknego, nic dość bogatego—jasne materye, kolorowy aksamit, borty złotem przetykane, oto lewa strona żakietu. Wierzch skromny, rozchylać się tylko będzie, by ciekawemu oku pokazać piękną wewnętrzną stronę.

Paniom lubiącym praktyczność, polecamy skromny a bardzo znowu modny bolero; z tyłu i z przodu krótki, sięgający pasa, lecz najnowszy fason ma z przodu znaczne przedłużenie. Zapięty szczelnie, dobrze obciska figurę, wyrzucone tylko klapeczki, stosując się do mody, ogólnie wewnątrz przybranych żakietów, odpowiednio są udekorowane.

Spódnice zaledwo się ustaliły, nowym, obcisłym fasonem, z małym trenem, zachwycać poczęły panie, aż tu znowu mała robi się zmiana. Suknie widzimy cloche, z tyłu bez szwu, płaskie, od góry układające się same na figurze bez jednego zagięcia. Suknia taka zapinać się będzie od przodu lub na lewym boku; dekoracye wszelkie na przód sukni się przenoszą, by to połączenie o ile możności zakryć zupełnie. Podobno i kieszeń powraca na dawne uprzywilejowane miejsce, będzie to i wygodniej i bezpieczniej.

Suknie z odcinanym wolantem nie należą jeszcze do przeszłości, ale nie wiem, czy przez oszczędność panie więcej markują garnirunkiem, niż odcinają wolant bortami, wolantami, gdyż w ten sposób suknia od dołu więcej się rozszerza, o co dziś głównie chodzi.

Obok tych, pojawiają się kostyumy eleganckie zupełnie bez garnirunku, suknie gładkie sukienne tak bardzo dziś modne, z małym trenem, są w skromnem zestawieniu prześliczne.

Żurnale francuzkie zalecają bardzo formę princesse; małe empiècement w formie karczka, haftowane, odgraniczone od sukni paskiem futrzanym, oto co stanowi toaletę princesse, która z lśniącego sukna najwspanialej ze wszystkich fasonów ubiera osobę o pięknej figurze.

Także tuniki krają formą princesse, a że aksamitne kostyumy właśnie w tej porze zmiany sezonu, nad Sekwaną bardzo są modne, więc spódnice aksamitne powłóczyste, tuniki princesse, oszyte futerkiem zyskały znaczne rozpowszechnienie.

Niepożądaną nowość przychodzi równocześnie zakomunikować mi szanownym czytelniczkom „Tygodnika.” Na przekór hygienie i wszelkim jej ostrzeżeniom ukazuje się w Paryżu stanik bawetowy! Nie jest to ten staniczek na delikatnych fiszbinach, szpiczasto udrapowany, który się pojawiał już kilka razy w salonach naszych, ale to machina prawdziwa z przed lat 200. Model wzięty z figur na portretach Velasquez'a, i w taką to prasę wciskać się poczniemy! Zmiana ta wywołała przekształcenie gorsetów; pokazują się inne olbrzymy, lecz sądzę, że na takie cierpienia nie narazi się żadna z pań naszych dobrowolnie, i że zmuszone niepowodzeniem bawety, ustąpią z horyzontu mody. Cóżby medycyna nasza orzekła, widząc panie w staniczku o prętach żelaznych, wkleszczone pomiędzy dwie płyty metalowe, tak bowiem przed 200 laty owe staniczki fabrykowano; żadna zmarszczka pokazać się nie powinna na materyi; stanik wyprostowany, ujmuje figurę jak pancerz silnie.

Bluzki tyle razy już na śmierć skazane, zawsze odżyją na nowo. Jakaś zmiana mała, ulepszenie i byt zapewniony! W tej chwili robią je z aksamitu deseniowego, dalej z moiré velours w pięknych jasnych odcieniach, z moiré pekin w atłasowe paski, poprzecznie dawane. Także na strojniejsze bluzki materye wytłaczane w węzły aksamitne. Fason bluzek nie uległ wprawdzie żadnej specyalnej zmianie, lecz widzimy z skromniejszych materyi gładkich, przybrane wypustkowaniem z przeciągniętym sznureczkiem; tworzą się z tego kombinacye bardzo gustowne, i bluzki skromne na pozór, bardzo pracowitej potrzebują ręki, by wypusteczki systematycznie były odszyte.

Staniki u sukien wymagają, jako dokompletowania całej toalety, żabotów, krawatu; widzimy tu pomysłów taką obfitość, że trudno nam się w opis szczegółowy wdawać. Są krawaty krótkie, sute choux, krawaty z koronki białej, długie, wązkie szale u dołu się rozszerzające, skromniejsze, marynarskie węzły. Tak samo i rękaw rozszerzający się przy dłoni ma wewnątrz sute nagarnirowanie białe, odpowiednie do dekoracyi przy szyi.

Rękawy trzymające się stale obcisłej formy, stosownie do elegancyi toalety zmieniają przybranie, i tak, najnowszą dziś rzeczą we Francyi jest rękaw zakończony długim zębem, który zachodzi aż na palce, ząb ten podszewkuje się zwykle innym kolorem materyi, jasnym, i przewraca na wierzch. Górna część rękawa w obecnej chwili na ramieniu nie podtrzymana niczem, opada i przylega za bardzo, naszywają więc rękawy od góry kilka razy wypustkami z sznureczkiem, w ten sposób rękaw nabiera sztywności i odstaje trochę od ramienia.

Przejście z zimy ku wiośnie akcentuje się najwięcej zmianami kapeluszy. Zamiast poważnych piór, dostrzegamy kwiaty; zwykle fiołki były zwiastunami wiosny, choć czasem i śnieg pruszył jeszcze. Tego roku przypinają kwiatki do kożucha, największym bowiem szykiem jest kapelusz w futro ujęty i przybrany kwiatami. Widziano najświeższe kapelusze ułożone z samych fiołków lub róż, brzeg ujęty był w pasek futrzany, czasem kokardy Watteau z futra, zdobią kapelusz kwiatowy.

Przy kapeluszach dużych okrągłych pojawia się znowu kokarda pod brodę z białego tiulu lub illuzyi, także i wstążki wiązane. Wszakże to tylko przy kapeluszach dużych, toczki zbyt wyglądałyby poważnie i już tworzyłyby coś w rodzaju kapotki.

Kwiaty wiosenne, któremi panie ożywić pragną toaletę poważną zimową, to bezlistne róże, pęki szarotek, gardenie, a zawsze fiołki, te urocze, nie nużące oka; we Francyi używają bardzo „la violette russe” o szerokich płatkach kwiatek duży jak bratki nasze; przypinają się w dużym bukiecie przy kapeluszu blizko włosów, gdzie mięszają się pomiędzy grzebyczki i szpilki szyldkretowe, zawsze bardzo przez panie używane.

Wskazówki i rady.

Utrzymanie wędliny podczas lata.

Pamiętać należy, iż podczas lata wszelkie wędliny, jak: szynki, salami, kiełbasy wędzone, przechowują się dobrze tylko w przewiewnych miejscach, to jest na górach lub śpichrzach, będących od strony północnej. Stanowczo nie można trzymać ich w piwnicach lub nawet lodowniach; mając zaś dużo sloniny w połciach, obwędzić ją lekkim bardzo dymem, lub chociaż obsuszyć nad kominem, a nie będzie jełczeć i zostanie w smaku równie dobra jak świeżo solona. Ponieważ dobra szynka jest zawsze pożądanym przysmakiem podczas lata, więc przechowanie jej w stanie świeżości jest nader ważne. Otóż wziąść worek z tkaniny bawełnianej, szynkę obwinąć watą, włożyć w worek i przechowywać w suchem miejscu. W braku waty można ją zastąpić dobrem bardzo suchem sianem, którem obtulić wkoło szynkę umieszczoną w worku. Można worek włożyć między omłócone zboże, jeżeli się takowe na śpichrzu znajduje.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою Варшава 16 Февраля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

W mieście ani się pokazać!... palcem wytknęliby go przyjaciele — jego, którego na szerokim gościńcu życia nikt niegdyś nie mógł dogonić — jego, który dla starych i dla młodych, dla drobnych i dla znakomitych, był niedawno temu wzorem, przedmiotem zazdrości, podziwu, powszechnych uwielbień, hucznych oklasków.

Kto prędko gaśnie — temu nie trudno zabłysnąć — zewsząd by powtarzano. Ha, żyć tak, jest to być pochowanym za życia i na własnej mogile słyszeć zamiast mów pogrzebowych, szyderczę poświsty! Ci sami, którzy wczoraj nosili ubóstwianego na rękach, mieliżby jutro nogą potrącać strzaskane losem bożyszcze?...

Ha, nie ma nad czem się zastanawiać!... Juliusz obiecał zbawić, niech daje do wybrnięcia z labiryntu, cudowny środek na pokruszenie zawad — on, który nieraz z głębszych dobywał się przepaści — człowiek praktyczny!...

Wilczek patrzył z pod oka, czoło coraz gęściej namarszczał; przeklęty zamiar wybiegał mu na twarz, łamał konwulsyjnie rysy. Gdyby zawsze był nosił podobne oblicze, Nastusia nigdy nie byłaby go ukochała.

Logicznym spadkiem pojęć, winowajca wbiegł myślą na długi szereg oburzeń przeciw zmienności niewieścich uczuć.

I ona także była kobietą — mniej świadomą towarzyskich stosunków, ale w ostatnim wypadku nie lepszą od innych. Brak sposobności uchował ją od zepsucia, ustrzegł od winy; gdyby się jednak znalazła śród grona spólzalotników, gdyby dym hołdów, pochlebstw, kadzideł uderzył jej do głowy!... — ach ona także była kobietą!

Wilczek gorzko się uśmiechnął.

Kto wie — mówił dalej sam do siebie — czy w tej chwili, zmorzona snem, nie marzy według zwyczaju, czy nie marzy o jedwabnych słowach, o lisich układach naszego gościa?...

W istocie, Juliusz zdaje się być silnie dotkniętym wdziękami dziewczyny. Zawsze mu spieszno do domku, zawsze zawcześnie do pałacu; często nie czeka na gospodarza, idzie pierwszy, wraca ostatni, otacza Nastusię staraniami, spogląda na nią, pieści wzrokiem, kołysze słodkimi wyrazy. Gdyby dziewczę odważyło się go pokochać!...

Ha! Wilczek nie czuje w sobie prawa zadawać gwałtu jej uczuciom, Wilczek szanuje własną wolność, podda się konieczności, i wolność innych zarówno uszanuje.

Zatoczył dzikim wzrokiem; snać inny wniosek miał na myśli, ale przed sumieniem głośno lękał się go wyjawić.

Juliusz groził mu zagubą, radził sprzedaż samego siebie, jako jedyny środek zbawienia; Wilczek ze złym swoim duchem dobijał targu.

Nastusia tymczasem, którą oskarżano o marzenia, zaczynała — przeciwnie — budzić się z marzeń; smutne przeczucia, ze snu kilkutygodniowego szczęścia przywoływały ją na jaw niedoli rzeczywistego życia.

Ustały długie wedwójne rozmowy, poranne przechadzki na łąkę, do lasu; wieczorne na rzekę wycieczki.

Wilczek tłumaczył się, że gościa nie może opuszczać; po całych dniach zostawiał ją samą — samą, gdyż odwiedziny w towarzystwie nierozłącznego Juliusza więcej sprawiały jej udręczeń niż pociechy.

Targana tajemną trwogą, biedna, jedną tylko widziała przed sobą nadzieję. Gość nie mógł na zawsze osiedlić się w pałacu; musiał przecie kiedyś wyjechać i zabrać z sobą obojętność, jaką kochanek od przyjazdu natręta jej okazywał.

Zaprawdę, sprowadziła go tu nieszczęsna godzina; zjawił się jak czarna chmura i tak widnokrąg zasłonił, że odtąd promyk pogody nie miał kędy wpaść jej do duszy.

Próżne nadzieje! dni jeden po drugich mijały, mnożąc zwątpienia i gorycze; o wyjeździe gościa słychać nie było — na opak; Juliusz każdego dnia mawiał o jutrze, obiecywał powrót, często bowiem sam już do domku przychodził, tłumaczył nieobecność Wilczka zatrudnieniami z rządcą, mnogimi listy, tysiącznymi, Bóg wie o ile prawdziwymi pozory.

Nastusia musiała przyjmować go po ludzku, ale gdy odszedł, załamywała ręce, we łzach tonęła, prosiła nieba o zmiłowanie, czuła, że sił jej niebawem zabraknie. Nieraz myśliła sobie, że mieć kochankę i przyjaciela, to na jednego za wiele; ona nikogo nie miała na świecie, dla tego też może więcej kochała.

Wilczek w istocie od niejakiego czasu podwoił dla gościa względów i oznak przyjaźni. Zdał się mu zupełnie na łaskę, wezwał do majątkowych narad ze starym rządcą, słów jego słuchał jak wyroczni, rady we wszystkim zasięgał. Sam, pilny wykonawca wspólnie powziętych postanowień, szczerze wziął się do pracy, wysyłał posłańców, rozpisywał listy, łagodził natarczywych, używał kolejno obietnic, prośby, oddalał wybuch. Juliusz poprzysiągł, że byle zyskać na czasie, zbawienie było niezawodnem.

Łatwo pojąć, że zatrudnienia te nie pozwalały mu jak dawniej, dni całych pędzić z Nastusią; nie zdawał się też srodze na tem cierpieć, wyprawiał do niej towarzysza, za odchodzącym atoli dziwnym często spoglądał wzrokiem.

Pewnego dnia, Wilczek od samego rana w szczególniejszem był usposobieniu. Rozgarniony, blady, snać noc bezsennie na gryzących myślach przepędził; ręce mu drżały, w oczach skrzył żar gorączkowy; nie słuchał, gdy go pytano, nie odpowiadał, nie mógł znaleźć miejsca ani chwili spokoju.

Potrzebował ruchu, samotności. Choć niebo zachodziło gęstemi chmury, nie zważał na oznaki burzy, kazał przyprowadzić konia i oznajmił, że wyjeżdża na przegląd pobliskich wiosek, zkąd zapewne wieczorem dopiero powróci.

Przyspieszony tentent oznajmił wkrótce, że jeździec nie szczędził ostrogi. Juliusz z uśmiechem dał odjeżdżającemu krzyżyk na drogę, spoglądał za nim, dopóki nie zniknął, wrócił do pałacu, wziął jakąś książkę, nie wejrzał nawet na treść, z niesmakiem ją na bok odrzucił, zadumał się na chwilę, otworzył nareszcie tylne drzwi od ogrodu i ruszył ku domkowi Nastusi.

Tym razem śpiew, jako pierwszego dnia przyjazdu nie ostrzegał zdala przychodnia o weselu pięknej mieszkanki ustronia. Nastusia z głową na ręku podpartą, siedziała milcząca, zamyślona. Usłyszała chód męzki, podniosła oczy; serce gwałtownie jej zakołatało — słuchała.

Nie — to nie on! to był ten drugi — ten drugi sam jeden. On zapomniał już ścieżki do domku; ten drugi z przeklętemi oczyma — ach gdyby chciał próg ominąć!

Otwarły się drzwi, wszedł Juliusz.

„Sam jeden!...“ westchnęła powtarzając mimowolnie jedyną, ogarniającą ją myśl.

Juliusz chciał ująć białą rączkę Nastusi; dziewczyna z pośpiechem ją umknęła jak od rozpalonego żelaza.

Przywykły do dzikiego obejścia wieśniaczki, nie zważał na wstrętny jej ruch; wysłodził twarz, przymilił oczy, siadł obok niej i prawił pieszczonym głosem:

— Sam jeden — piękna moja pustelnico; czyliż nie dość?... Władyś tylko co wyjechał, objeżdża gospodarstwo — zapewne nie prędko powróci.

— Wyjechał!... nie prędko powróci... mówiła dziewczyna, która te tylko zasłyszała wyrazy.—Ach dawno temu, już był raz wyjechał! Pojechał i długo, długo nie wracał; myślałam, ze nigdy już nie wróci. Dziś znowu wyjeżdża i znowu myślę, że na długo ucieka. A dawniej jeszcze — przed rokiem, przed dwoma laty nie potrzebował spieszyć z powrotem, bo choć wyjeżdżał, to zawsze i wszędzie było go pełno. Teraz gdy na chwilę wyjdzie, gdy ledwo do pałacu się oddali, wszystko z sobą zabiera.

— Nie ma się czego smucić Nastusiu — odparł Juliusz, tłumiąc niezadowolenie — zaręczam, że wieczorem powróci; wreszcie chociażby dziś wcale nie wrócił, czyliż bez niego jeden dzień taki ci trudny?

— Jeden dzień!... co panie nazywasz jednym dniem? od wschodu słońca do zmroku?... Nie wiesz ile razy przez ten czas serce może zaboleć, a boleść czas wyciąga, oj wyciąga bez miary. Kiedy niedola z rankiem się zacznie, południa ciężko doczekać, a gdy południe nadejdzie, do wieczora rok przynajmniej upływa. Innym razem dnia nie ma

ranek, południe i wieczór, mignęły jak błyskawica; szczęście je gnało przed sobą. Prawdę panie mówiłeś; dzień taki jeden, trudniejszy dla mnie, niż zdołam wypowiedzieć.

— Biedna moja maleńka! — rzekł Juliusz ze spółczuciem — zgaduję, ile musisz cierpieć, jak nieraz sama się nudzisz. Grzech też nie darowany samotną cię zostawiać. Tyle razy mówiłem to Władziowi! Nieszczęsna głowa— mądry, kto z nią dojdzie do ładu! Gdyby nie moje namowy, jeszczebyś rzadziej go widywała. Bóg świadkiem, nie pojmuję, jak, mając skarb taki przy sobie, można do tego stopnia być ślepym, jak można gdzieindziej niż w domku jedną chwilę przepędzić? Dziwna rzecz!... Kocham Władzia jak brata, choć wiem, że on nie zdolny ocenić żadnego ku niemu przywiązania.

— Nie znasz go panie.

— Od maleńkości.

— A dla czego tak o nim mówisz?

— Uspokój się miła orędowniczko; w niczem zaletom jego nie ubliżam. Jeżeli Bóg mniej mu dał czucia niż drugiemu — nie jego w tem wina. Jeden mało ma, drugi wiele; obu równa zasługa skoro wszystko oddadzą. Władyś — jestem przekonany, kocha cię całem sercem, ale na szczupłem sercu nie każdy przestaje. Dla twego szczęścia Nastusiu, potrzeba abyś była kochaną jak sama kochasz. Kogoś ty ukochała, ten nie powinien mieć ani przyjaciół, ani rodziny, ani znajomych, ani ze światem stosunków, ty mu za wszystko wystarczysz. Czyli Władyś tak cię rozumie?... nie wiem, nie odważam się sądzić — widzę tylko ciągle z nim żyjąc, że nie rozumie, nie ocenia siły twego przywiązania, że przy tobie zwykle o czem innem myśli i mówi. Wreszcie, znasz go równie dobrze; żalić się na samotne godziny, dziś już zapóźno. Powinnaś być przyzwyczajoną.

— Powinnam — to prawda; wiele dni samotnych przeżyłam — rzekła dziewczyna, odpychając z myśli pierwsze uwagi Juliusza i chwytając się ostatnich jego wyrazów — ale cóż pocznę, kiedy przywyknąć do niczego nie potrafię — ani do szczęścia, ani do złej doli, bo w szczęściu, dziś piękniejsze mi zawsze od wczoraj, a w smutku codzień czarniej, boleśniej mi w duszy.

— Od twego przyjazdu panie, codzień mu dalej do domku, codzień mu spieszniej odemnie. Nie dawno jeszcze przysięgał, że miłą mu byłam na wieki — dziś, słowa z wiatrem ubiegły; niby zupełnie o mnie zapomniał!

Juliusz nie mógł wzroku od niej oderwać; krew namiętnie biła mu w żyłach; dziewczynie do twarzy było z rozpaczą. Podszedł ku niej, stanął, założył ramiona i rzekł:

— Zapominać o tobie Nastusiu?... chybaby nie miał sumienia! — a choćby cię nawet zapomniał — i cóż z tego — kto na tem straci?... nie ty, zaprawdę, o luba! Spójrz w to zwierciadło, przypatrz się sobie — ach, gdybyś mogła porównać się z wyborem szlacheckich panien, za jednym rzutem oka przybyłoby ci zaufania. Niech staną obok ciebie najpiękniejsze we wszystkich powabach młodości, w całym blasku bogatych strojów — klnę się na duszę — zgasną jak gwiazdy przed słońcem. Nie znasz siebie Nastusiu, nie pojmujesz uroku czarującej twojej postaci, nie domyślasz się słodyczy wdzięku rozlanego na twoich rysach. Za wzrok twój pieszczący, za srebrny dźwięk głosu, za te strumienie złotego jedwabiu co ci spływają na szyję, nie jedna wielka pani oddałaby wszystkie swoje skarby. Za jeden uścisk łabędzich twoich ramion, za jedno dotknięcie koralowych ust, nie jeden piekłu zaprzedałby duszę. Ach, patrz jeszcze na mnie, patrz temi oto wzruszonemi oczyma, chociażby do końca świata!.. Niebo mi przez nie wygląda. Nie mów o zapomnieniu, ty samowładna pani każdej pamięci! Dość raz cię widzieć. I cóż z tego, że cię zapomni jeden niegodny?... Czyliż ubędzie ci przez to wdzięków; czyliż ci porwie blask oczu, czy róże i lilie twego oblicza z sobą zabierze?... Nie dbaj o niewdzięcznika — tysiące innych, godniejszych u nóg ci legną. Rzeknij słowo!... chcesz zemsty?... będziesz zemszczoną jak żadna dotąd kobieta nie była na świecie — chcesz miłości?.. będziesz kochaną, jak w Niebie tylko kochać umieją — chcesz poznać świat, zaświecić blaskiem, otoczyć się przepychem?... jutro w największem mieście o tobie tylko będą mówić, spoglądać tylko na ciebie. Porzuć dobrowolne męczarnie, porzuć każdogodzinne konanie bez zgonu nawet za pociechę! Brak ci szczęścia! brak życia!... odetchniesz szczęściem, o jakiem nie marzyłaś. Ci, którzy dziś nie umieją cię cenić, jutro ci pozazdroszczą; znajdziesz miłość bez granic!... luba!...

Upiorna bladość pokryła lice dziewczyny; z rozchylonemi usty, z obłąkanemi oczyma, słuchała tego człowieka, który z krwią nabiegłym wzrokiem, z potarganymi żądzą rysami, wyciągał ku niej drżące ramiona, jak gdyby chciał strącić ją z sobą w rozwartą mu pod nogami otchłań.

Wicher szalał na dworze; wściekła burza łamała gałęzie drzew, dudniła ulewą w okna. Strach dzwonił białemi ząbkami Nastusi. Cofnęła się ku oknu, ręką wskazała na niebo.

— Co mówisz panie?... — rzekła — gościu nieszczęścia, czy słyszysz?... grzmi! Patrz — błyska się, pioruny biją. Boga się nie boisz— ziemia pod tobą się otworzy!... Straszne twoje wyrazy — straszny sam jesteś!... jak żyję nic takiego nie słyszałam — nawet w złych snach. Boże mój, Boże — Matko najświętsza!... Głowa mi pęka. Co prawisz o szczęściu, o kochaniu — o życiu?... Z twarzy twej bije niedola; w głosie — jak poświst wichru — szumi nienawiść; z oczu śmierć ci wygląda. Na bożą miłość — porzuć mnie — zostaw — ulituj się nademną!... Nie obiecuj zemst ani skarbów!... ja niczego nie chcę, niczego nie szukam — ja i bez tego mam więcej boleści niż mogę wycierpieć, i więcej szczęścia niż zasłużyłam...

Juliusz nachmurzył czoło, srożał w duszy, ale potęgą woli wybuch przytłumiał.

— Uspokój się drogie dziecię — odparł gestem pogardy, wskazując na walkę powietrznych żywiołów — burza zwyczajna — nic więcej; wkrótce przeminie i słońce znowu zaświeci. Są inne burze, groźniejsze — te, które nie kwiaty łamią i drzewa, ale druzgocą serce człowieka. Takiej burzy chroń się Nastusiu, od takich gromów pragnąłbym cię zasłonić. Oby Bóg ją od ciebie odwrócił, ale bożego cudu na to potrzeba. Sama jedna nie ostoisz się przeciw nawałnicy, a na nieszczęście, lękam się, aby wkrótce straszny wicher przeciw tobie się nie poderwał. Gdzie wówczas znajdziesz przytułek i opiekę?... Co poczniesz skoro Wilczek cię porzuci? — nie wzdrygaj się, trzeba na wszystko być gotową — gdzie wówczas się podziejesz?... Uważaj pilnie na moje wyrazy — wiem, przysięgam ci — wiem dobrze co mówię.

Nastusia ukryła twarz w dłoniach; wzmianka o porzuceniu wracała ją do rzeczywistości; w obec tej jednej myśli znikały przed nią rozkiełznane zapędy Juliusza.

— On mnie porzuci!... — zawołała głosem rozpaczy, wiesz panie o tem z pewnością?... Ach przez litość, powiedz mi wszystko! Jeżeli mam zginąć, niech ginę odrazu; nie zabijaj powoli! Znudził się mną — zbrzydłam mu — pokochał inną?... Przeczuwałam, że tak musi się skończyć. Ale niechby przynajmniej sam był otwarcie w oczy powiedział. Od niego wszystko byłabym zniosła; czyliż nie on panem życia mego i śmierci? Czemu, kiedy już chce mnie się pozbyć, przez drugich przysyła truciznę, czemu mi skąpi ostatniej pociechy?...

Uporny zwrot myśli dziewczyny na Wilczka rozsrożył Juliusza; zniecierpliwiony, rzucił się w krzesło, wzniósł oczy do góry, jak gdyby czekał na wezbranie nowych sił do pokonania niebezpiecznego spółzalotnika.

Nastusia zbliżyła się ku niemu, ujęła go za rękę. Boleść i groźba szarpały kolejno jej rysy.

— Nie powiedziałeś prawdy?... — zawołała — czemu panie mnie zwodzisz? Widzisz, że myśli zebrać nie mogę; korzystasz z szalonych moich przywidzeń. Szalona żem ci uwierzyła! On mnie kochać nie przestał; przed twoim nieszczęsnym przyjazdem przysięgał! — on kłamać nie umie. Jednemu słowu jego, jednemu spojrzeniu—więcej wierzę niż gdybyś przez rok mi dowodził, więcej niż własnym, szalonym niespokojom. Czego chcesz ode mnie — kto cię na moją zgubę tu przysłał?.. Udajesz przyjaciela. Czemu, przed nim inaczej się odzywasz? Ja mu wszystko powtórzę; nie wiesz jeszcze jaki on straszny gdy się rozgniewa!... On wszystkiemu zaprzeczy; w oczy ci powie, żeś skłamał — przeklnie twoją przyjaźń — słyszeć o tobie nie zechce.

Juliusz uśmiechnął się z niedowierzaniem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 1004—50-15

TOWARZYSTWO AKCYJNE

WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA



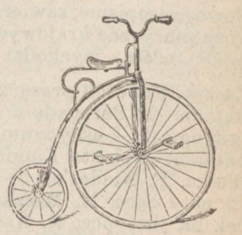
Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH
WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.
POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 901—24—19

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienska dom Tretjakowych.



Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Rożdiestwienka dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42. dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od **1** do **10** rub. za sztukę
818-52 50 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs I-y w **14** zeszytach, **Kurs II-gi** wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop 13).
Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 4

„LEOCADIE"
specyalna pracownia
Ubiorów Dziecinnych
w Warszawie, Trębacka 3.
981—12—12

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci
CUKRY DESSEROWE.
NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.
i Cukrów Desserowych.

TEODORA KOZIŃSKIEGO

Marszałkowska 123. 951-25-15
Ceny nizkie.

!! Na raty od 50 kop. !!
poleca
F. Feigenblatt
GRANICZNA 14.
Wyżymaczki, Maszynki do mięsa oraz Naczynia kuchenne emaljowane. 22

Wincenty Węgierski

Freta Nr. 13
Długoletni współpracownik firmy
854-26-25 **B. HERSE**
otworzył pracownię
Sukien i Okryć damskich



AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
☞ Pierwsze źródło tej branży. ☜
CENY PRZYSTĘPNE. 16

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach
ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY
MAURYCEGO ERLICH
ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**
899-24-19

Przewodnik Illustrowany

po WARSZAWIE,
67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.



Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.
z przesyłką pocztową rekomendowaną 35 kop.
Do nabycia we wszystkich księgarniach
ORAZ
w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści".

Nakładem spółki wydawnictw illustrowanych wyszło:
Album Artura Grottgera

„WOJNA"

(w dolinie łez) 15

11 rycin z portretem Grottgera oraz tekstem T. Szabłowskiego. **Cena kop. 80.** w ozdobnej teczce, ryciny w kartonach **rs. 1 k. 50.** Wydanie duże, wykwintne w formacie 42×32 ctm., ryciny na kartonach w ozdobnej tece ze złoceniami **rs. 4 kop. 50.**
Skład główny w księgarni Jana Fiszera Nowy Swiat 7.

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Bronisławy Müller
(Bednarskiej)
przeniesiona została z ul. Aleksandrya
na Swiętokrzyską N-r. 17.
973—25—13

Kapelusze, suknie żałobne
oraz wszelkie przybory pogrzebowe poleca:
Kaucyonowane Przedsiębiorstwo Pogrzebowe

F. WODECKIEGO

ul. Marszałkowska 106
pomiędzy Chmielną a Widok.
Załatwia kompletne pogrzeby i przeniesienia zwłok szybko, akuratnie i tanio. 10 9.

Pierwszorzędne biuro **Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie-Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—18

SPECYALNY SKŁAD
Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—20—24
TOWARY NORYMBERSKIE
Antonina Plichta
Ś-to Krzyzka № 8.
CENY NAJNIŻSZE.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2 **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-28
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 14

Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.
Warszawa, Senatorska Nr. 6
Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-8